

Magdalena Środa

Teoria i praktyka ekologii

Sztuka i Filozofia 12, 204-207

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Magdalena Środa

TEORIA I PRAKTYKA EKOLOGII

Socjologowie znają takie określenie mniejszości, które bierze pod uwagę nie rzeczywistą liczbę członków jakiejś grupy, lecz fakt ich dyskryminowania. Mniejszością w tym sensie byli (są?) Murzyni, kobiety, homoseksualiści. Walka wszelkich mniejszości jest zawsze walką o prawa, ale też o przewartościowanie tych wartości kultury, które dyskryminację powodują, i dowartościowanie tych, które od dyskryminacji nas wyzwolą. Walka mniejszości ma więc zawsze, prócz praktycznego, aspekt teoretyczny, odwołuje się bowiem z reguły do jakiejś nowej lub co najmniej zrewidowanej wizji człowieka, kultury, świata. Murzyni walcząc o swoje prawa wzmocnili własny wizerunek i zainteresowali nim białych (i to nie tylko zwolenników jazzu), podobnie czynią feministki, które od ulicznych manifestacji (w niebieskich pończoszkach) przeszły do poważnych i uznawanych w większości uczelni *gender studies*. Wszystkie ruchy mniejszościowe mają więc najczęściej wymiar podwójny: polityczno-prawny oraz filozoficzno-kulturowy (płytki i głęboki). Dwoistość ta przypomina dwoistość wolności: wolność *od* ograniczeń, przeszkód, autorytetów, przymusu etc. stanowi narzędzie i warunek zarazem wolności *do* realizacji określonych wartości, przeciwstawnych wartościom odrzuconym. Muszę przyznać, że zawsze z sympatią przyglądam się wszelkim ruchom mniejszościowym, dążącym pośrednio bądź bezpośrednio do zniesienia hegemonii kultury wykreowanej przez białych mężczyzn o standardowej orientacji seksualnej (bowiem *świat zachodni jest nie tyle skoncentrowany na człowieku, ale na samcach* – tę opinię ekofeministek przytacza Ferry), wszelako robię to z niejakim dystansem, zwłaszcza w odniesieniu do teoretycznego zaplecza tych ruchów. Za każdym bowiem ruchem kryje się jakaś wizja nowego ładu świata, a każda propozycja „nowego ładu”, mimo że opisywana językiem filozoficznym – trąci ideologią. Ideologia jest kwestią wiary, wiara zaś nie każdemu jest dana. Nie każdy też chce ją mieć.

Książkę Luca Ferry’ego czytałam więc pełna obaw, że gdzieś w ukrytych zakamarkach odnajdę ideologiczne zamysły wsparte na słusznych żalach i sentymentalnych hasłach (równie o nie łatwo w przypadku feminizmu, ekologizmu, jak i innych „izmów”). Tak się jednak nie stało. Książka pisana jest językiem wyważonym, zdroworoządkowym, a nadto

filozoficznym (a filozoficzność ta nie jest narzędziem żadnych manipulacji ideologicznych; po przeczytaniu Ferry'ego czytelnik nie zamierza w większym stopniu niż niegdyś walczyć o życie wielorybów czy o los wydumanych krzewów, lecz podziwia elastyczność i użyteczność takich postmodernistycznych kategorii, jak „różnica”, które – jak się okazało – są przydatne i płodne w opisie nowego ekologicznego ładu).

Trudno jest przeto powiedzieć, jaka jest wymowa książki Ferry'ego, bo też nie jest ona łatwa w lekturze. Ferry opisuje, porządkuje, ocenia różne teorie ekologiczne, wskazując na ich teoretyczne zaplecze i możliwe konsekwencje. Wybiera przy tym do analizy myślicieli poważnych i głębokich (bo to temat, w którym o splotach niezwykle łatwo). Ferry chce powiedzieć czytelnikowi, że „coś jest na rzeczy” w ruchach ekologicznych, ale że rzeczą tą nie jest koniecznie wegetarianizm, wyrzeczenie się ostryg czy bojkotowanie stolarzy. Wzajemne bowiem związki natury i kultury, ekosystemów i społeczności, drzew i ludzi mają strukturę pajęczej nici; trudno je i zerwać i powiązać, zwłaszcza jeśli nie chce się stracić złotej kropli, która się na nich unosi.

Paradoksalnie jednak, mimo powagi i dobrego naukowego poziomu tej książki, po jej lekturze pozostaną mi w pamięci trzy elementy. Po pierwsze informacja, że ktoś gdzieś domagał się, by drzewa miały własną, proporcjonalną, reprezentację w parlamencie. Ferry nie pisze o tym poważnie, ale sama myśl poruszyła mnie głęboko. Jest to bowiem pomysł nie tylko z zakresu żartów pomarańczowej alternatywy. Sprawa druga to ekofeminizm. Złość autora na ekofeministki za ich „paranoiczną wizję historii” jest po części niesłuszna, po części jest wodą na młyn dla feministek, które widzą prawdziwość swoich teorii właśnie w fakcie wyprowadzania z równowagi przedstawicieli kultury patriarchalnej (a Ferry do nich należy). Skądinąd wartym zastanowienia, zwłaszcza przy konstruowaniu „nowego ładu”, jest fakt pochodzenia różnych pojęć. Ekologowie traktują pojęcie prawa jako uniwersalne i chcą w związku z tym jedynie rozszerzyć prawa na zwierzęta, rośliny etc. Feministki uważają, że samo pojęcie prawa nosi na sobie piętno partykularyzmu (a jest nim jego „samce pochodzenie”), tedy mówienie o „nowym ładzie” ekologicznym w świecie starych kategorii (patriarchalnych, gdzie istotna jest hierarchia, postęp, relacje podporządkowania i gdzie premiowana jest agresja i panowanie) jest niemożliwe. Mimo że za zbyt silną, a przeto i dość śmieszną, uważam tezę, iż między *dyskryminacją kobiet a nieprzestrzeganiem praw natury* istnieje bezpośredni związek, to jednak w przeciwnieństwie do Ferry'ego powiem, że coś tu jest na rzeczy. Trzecią

natomiast sprawą, która z tą drugą jakoś się wiąże, są przytaczane na początku pracy Ferry'ego plastyczne opisy procesów zwierząt. Ferry opisując je chce pokazać, jak bardzo ewoluuje nasz stosunek do zwierząt. Zwierzęta niegdyś sądzono i karano nawet kłutwą, co według Ferry'ego wyrażało naszą wysoką ocenę zwierząt i miłość do nich. Pamiętam taki tekst Marii Ossowskiej, w którym przytaczała ona podobne opisy, wszelako dla zobrazowania zupełnie innej tezy. Tej mianowicie, jak szybko, postępowo i humanitarnie ewoluuje prawo oraz idea odpowiedzialności. Nie wiesz się już świń i nie zabija psów, nie wygania wołków zbożowych, nie okłada kłutwą pcheł, ponieważ prawo zhumanizowało się, zindywidualizowało i sformalizowało, co pozwala ludzkości nie tylko na uniknięcie różnych idiotyzmów, ale również na bardziej humanitarny stosunek do zwierząt. Jeśli zresztą przypomnieć, z jakim niezrozumieniem w oczach Kościoła i ludzi epoki, o której pisze Ferry, spotkała się franciszkańska zasada miłości dla „braci mniejszych”, to raczej przyjdzie mi przyznać raczej Ossowskiej, niż Ferry'emu.

Jest sprawą jasną, że dla zagadnień ekologicznych, rozważanych z etycznego punktu widzenia, najważniejszymi są pojęcie *prawa* i *obowiązku*. Pojęcia te nie są może ściśle określone, ale wyraźny jest obszar, w którym można je stosować, jak i granice ekstensji, które ze względu na ich pochodzenie i konotację, istnieją. Wyznam, że podobnie jak Bentham nie lubię nadużywania tych pojęć, stosowania ich w dowolnym kontekście i obdarowywania nimi wszystkich i czegokolwiek. Głównie dlatego, że nadużywanie to osłabia ich magiczną moc, jaką, mimo wszystko, mają w naszej kulturze. A tak robi się w ekologii. Przede wszystkim nie sądzę, że zwierzęta, rośliny, kamienie mogą być nosicielami praw w dosłownym sensie tego słowa. Prawa mogą im zostać przyznane przez nas samych, w sensie umownym, o ile tylko my sami przyjmujemy na siebie obowiązki z praw tych wynikające. Najpierw powinno się więc mówić o obowiązkach. Na razie jednak ludzie bez większego powodzenia starają się (?) wziąć na siebie obowiązki wzajemnego respektowania siebie, nickrzywdzenia, miłości bliźniego etc. I naprawdę niewiele im z tego wychodzi, coż tu więc mówić o obowiązkach wobec zwierząt? Przyznawanie praw kamieniom i wierzbow, kosmosowi w ogólności, stanowi zabawną retorykę, ale nie ustanawia żadnej nowej rzeczywistości prawnej czy też jakiegokolwiek ochrony. Nie jestem też pewna, czy ekstensja pojęcia obowiązku powinna obejmować przyrodę, czy raczej przyszłe pokolenie. Pytanie więc o nasze obowiązki wobec przyrody powinno raczej brzmieć: czy mamy obowiązki wobec przyszłych pokoleń? I nie

jest to pytanie, na które odpowiedź jest prosta, mimo że w retoryce obowiązku jest dużo miejsca na troskę o istoty, które jeszcze nie przyszły na świat.

Dlaczego właściwie mamy oszczędzać, uważać, dbać i pielęgnować świat wokół nas, jeśli ani nie wiemy, kim będą ci, którzy go po nas przejmą, ani czy w ogóle go przejmą, ani tym bardziej czy przejęty świat pozostawią co najmniej takim, jakim go objęli. Niewiedza o przyszłości i pokoleniowy egoizm są wyraźną przeszkodą w uznaniu ekologicznych obowiązków wobec ludzkości, która nastąpi po nas. Dlaczegoż zresztą mielibyśmy się poświęcać dla niewiadomego? Jeśli na świecie jest coraz gorzej, to wszak nasza troska o czyste powietrze niczego nie zmieni, jeśli jest coraz lepiej, to oni już na pewno wymyślą coś lepszego, niż czyste powietrze.

Sądzę, mówiąc poważniej, że w odniesieniu do przyszłych pokoleń możemy sformułować dwie dyrektywy ekologiczne, z którymi przyjdzie nam się zgodzić:

– jesteśmy wszyscy odpowiedzialni za ochronę środowiska, w taki sposób, aby zachować ilość dóbr niezbędną dla przeżycia dla tych, którzy przyjdą po nas;

– nie jesteśmy winni tym, którzy przyjdą po nas, nic z tych dóbr, które są konieczne dla utrzymania umiarkowanej jakości życia i godności istniejących obecnie członków naszego społeczeństwa.

Upraszczając, możemy powiedzieć, że woda, którą po nas „przejmą”, powinna być równie brudna, jak ta, którą mamy, a jeśli bardziej czysta, to nie kosztem naszych kąpiel. Wobec jednak faktu, że istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, iż przyszłe pokolenia w ogóle przejmą po nas jakąś wodę, sprawa ekologii, już nie tylko z punktu widzenia przyszłych pokoleń, ale również nas samych, wydaje się niezwykle ważna.

Nasz stosunek do biosfery, kosmosu i przyszłości, mimo że nie dający się – jak sądzę – objąć kategoriami etycznymi, nie może być wszakże zupełnie dowolny. Ani zwierzęta, ani gleba, ani woda nie mogą stanowić sfery dla działań niczym nie ograniczonych, dewastacyjnych lub po prostu głupich. I to nie tylko ze względu na nasz własny interes. Ekologia powinna tedy zaważać dwiema sferami: indywidualną wrażliwością oraz polityką i gospodarką. A więc ruch ekologiczny powinien stawiać na wychowanie nowego, wrażliwego człowieka oraz dążyć do stworzenia jawnych, kontrolowanych zasad eksploatacji środowiska naturalnego. Lepiej tu mówić o polityce i stwarzać lobbingsi, lepiej myśleć o nowym ładzie wewnątrz człowieka, niż o nowym ładzie świata, opartym na fikcyjnych prawach kamieni czy równie fikcyjnych naszych obowiązkach wobec ostryg.